

# Wraca? Nowe?

Obserwując medialne dywagacje o bezrobotnych absolwentach szkół wyższych, przypominam sobie slogan z minionej epoki: wraca nowe. Myślałam, że całkowicie i bezpowrotnie stracił aktualność razem z ustrojowymi przemianami, które objęły także sferę szkolnictwa wyższego i – zdawałoby się – przeobraziły ją gruntownie, czyniąc los studentów, potem absolwentów, o wiele lepszym, niż było to udziałem mojego pokolenia.

Rozmawiam ze stypendystami Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, z uczestnikami programu *Homing*, którzy wyjeżdżają na staże do najlepszych ośrodków naukowych na całym świecie, a wracając do Polski, mają wsparcie w ponownym adaptowaniu się do trudniejszych krajowych warunków. Wiem, że to dotyczy niewielkiej części młodych – najzdolniejszych i najbardziej ambitnych, ale należy tę szansę odnotować.

Wiem także, że sporo posiadaczy dyplomów magisterskich ma trudności ze znalezieniem pracy, która odpowiadałaby ich kwalifikacjom, a przede wszystkim wyobrażeniom, jakie miejsce w społeczeństwie te kwalifikacje powinny zapewniać.

Wraca nowe mówiliśmy – my dziennikarze zajmujący się nauką i szkolnictwem wyższym – kiedy władze ogłaszały, nie nowe bynajmniej, lecz w ich mniemaniu rewelacyjne pomysły na szybszy rozwój badań i na wykorzystanie wiedzy absolwentów z większym pożytkiem dla Polski.

Już w tamtych, sprzed 1989 roku, czasach wiadomo było, co bardziej przenikliwym obserwatorom rzeczywistości (wdzięczny temat dla dziennikarzy naukowych), że na poziomie uniwersyteckim nie należy kształcić do określonych zawodów, gdyż nie wiadomo, jakie profesje powstaną jutro, pojutrze i jeszcze później. Pewne jest natomiast, że będzie ich coraz więcej, a tradycyjne ulegną daleko idącym zmianom. Wiele medialnego miejsca zajmowały filipiki (z udziałem ludzi nauki) przeciwko zbyt drobnym specjalizacjom w programach studiów (także w badaniach), nawoływania do interdyscyplinarności, co dzisiaj jest truizmem, jakkolwiek warto i trzeba pokazywać szersze prace na różnych, płodnych intelektualnie, pograniczach obszarów poznania.

Był czas, kiedy dziwiono się temu, że banki chętniej zatrudniają fizyków niż absolwentów różnych kierunków finansowo-menedżerskich. Przypominam sobie to teraz, obserwując badania nad niedopasowaniem wyższego kształcenia Polaków do potrzeb rynku pracy i nad losem sfrustrowanych (jakoby powszechnie) inteligentów, opuszczających uczelnie. I myślę – pewnie ze śmiałością profana – że być może na tych uczelniach nie zostali dobrze wykształceni – w najbardziej jednoznacznym rozumieniu tych dwu słów. Nie nauczyli się w dostatecznym stopniu abstrakcyjnego myślenia, kojarzenia odległych faktów i zjawisk, rozumnego rozglądania się po rozległych obszarach rzeczywistości, którą mają kształtować wedle swojej wiedzy, swoich umiejętności i swoich śmiałych wyobrażeń.

Na pewno jedną z przyczyn sytuacji, w której magistrów nie znajdują pracy, jest masowość studiów wyższych, pociągająca za sobą obniżenie ich jakości. Trzeba ten kłopot doliczyć do ceny za osiągnięcie wielkiej liczby Polaków z dyplomami, która trochę spadnie za sprawą czynnika demograficznego.

Jeśli – jak słyszymy od przedstawicieli resortu – czeka nas szereg poczynań mających na celu podniesienie poziomu kształcenia, warto wyraźnie postawić pytanie: Kogo powinny kształcić szkoły wyższe? I drugie, pomocnicze: Czy absolwenci szkół wyższych muszą pracować w „swoim” (wyuczonym, wpisanym do dyplomu) zawodzie? Próbując na te pytania odpowiedzieć – jako, znów to podkreślam, wieloletni obserwator spoza środowiska, ale znający wielu jego przedstawicieli i mający jakieś takie pojęcie o dobrych tradycjach akademickich w Polsce niepodległej – muszę westchnąć: niechby niejedno stare (sprzed PRL) wróciło.

Przede wszystkim zespolenie uniwersyteckiego (w ogóle wyższego) kształcenia z wychowaniem, tj. kształtowaniem postaw – kreatywnych, innowacyjnych, jak dzisiaj powtarzamy, co dawniej mieściło się w określeniu: szerokie horyzonty, czyli ciekawość także tego, czego na studiowanym kierunku akurat nie wykładano, bezinteresowna (lecz opłacalna) otwartość wobec świata. Przydaje się bardzo, kiedy skończywszy studia, nie znajdujemy dla siebie miejsca tam, gdzie się spodziewaliśmy, studia wybierając. Nie będzie to porażką ani przyczyną frustracji, jeśli profile wyższego kształcenia staną się prawdziwie szersze, skierowane ku przyszłości dalszej niż aktualny rynek pracy i zdolają wyprzedzać jego przewidywane potrzeby.

Oczywiście jest druga strona: właśnie rynek – problemy modernizującej się gospodarki, ochrony zdrowia, cyfryzowanej administracji państwowej, globalizującego się handlu, wymagającej reform oświaty (czyli tego, co powinno w jednym procesie edukacji poprzedzać fazę wyższego kształcenia), całej sfery uczestnictwa w kulturze...

Niecierpliwość pracodawców, ich pretensje z powodu tego, że z uczelni nie przychodzą ludzie gotowi natychmiast efektywnie wykonywać bieżące zajęcia, można zrozumieć, ale część z oczekujących tego, chyba spora, także nie wykonywała i nie wykonuje wyuczonego na studiach zawodu.

Wszystko to nie znaczy, że lekceważę bezrobocie absolwentów albo abym komukolwiek to sugerowała. Wydaje mi się tylko, że propozycje zaradzania złu nie wychodzą poza wspomniany na początku slogan: wraca nowe. Likwidacja kierunku: filozofia na jednym z uniwersytetów karykaturalnie to ilustruje. Jaki pracodawca potrzebuje magistrów filozofii (poza może kierownikiem katedry tam, gdzie kierunku nie zlikwidowano)? Znam takich filozofów, którzy pracują w biznesie – bardzo owocnie, ze społecznym pożytkiem, przyzwoitymi zarobkami i własną satysfakcją. To m.in. argument w debacie o rozwoju humanistyki, ale trochę inny, osobny, temat.